

Lucia Eniu
Papierowe królestwa czyli podróże Marca
Lemonde

Przedmowa

Wiemy, że książka dla dzieci - dobra, prawdziwa, nie taka, która służy jako podręcznik dla pedagogów i ideologów - jest przede wszystkim przeznaczona dla dziecka, skrytego w każdym z nas. W przeciwnym razie nigdy nie osiągnie celu: przekazania genialnej ludzkiej wrażliwości, tej, która pozwala na otwarcie się na świat podczas pierwsze lata życia. Bez tej odnowy, która jest właśnie powołaniem książek dla dzieci, człowieczeństwo w nas umrze.

Ta książka jest cudem samym w sobie. Nie tylko spełnia swoje powołanie, ponieważ budzi w nas, dzieciach-czytelnikach, całą prostotę, ale czyni to w subtelnym powiązaniu autora, jego postaci, Marca Lemonde, i czytelnika. W ten sposób pisarz, który ujawnia się na początku książki i zamyka ją na końcu - pozwalając wzywać się, od czasu do czasu, przez całą czytelniczą podróż - tworzy w swoim poetyckim świecie swoją postać, niczym alter-ego, do tego stopnia, że powierza jemu, temu dziecku, które wprowadza w odkrywanie "papierowych krain", zadanie zilustrowania czytanej książki własnymi rysunkami...

Ujawnia nam to przede wszystkim podwójny talent autora: pisarza i grafika. Ale te dziecięce rysunki wprowadzają nas również w intymność fascynującej kreacji, jako czytelników drugiego stopnia - ponieważ domyślnym czytelnikiem pierwszego stopnia tych opowieści jest sam bohater, o ile jest on jednocześnie aktorem i narratorem: to jego oczami czytamy jego historię.

Te "papierowe królestwa", w które wprowadza nas Łucja Eniu są zabawne (Królestwo *Szachisty*, Królestwo *Wędrowca*), śmieszne (Królestwo *Drzewa*, Królestwo *Śmiechu*, Królestwo *Emotikonów*), poetyckie (Królestwo *Motyli*, Królestwo *Oka*), mityczne (Królestwo *Legend*), estetyczne (Królestwo *Luster*, Królestwo *Lalek*) i fałszywie moralizatorskie: złoty środek niekoniecznie oznacza szczęście (Królestwo *Równowagi*), nieszczęście może się uśmiechać ("Życzę Ci dobrego smutku i niech spustoszenie będzie z Tobą! "), a humanistyczna utopia jest, niestety, z pewnością nie na dziś (Królestwo *tolerancji*).

Dana Shishmanian

Marca Lemonde stworzyłem pewnej letniej nocy, kiedy krajobraz wokół mojego domu zdawał się unosić w białawym świetle papierowego księżyca. Księżyca narysowanego przez leworęczne dziecko, roztargnione i uśmiechnięte. Wyobraziłam go sobie naraz i otworzyły się na mnie jego wielkie czarne oczy. Roziskrzane papierowe oczy. Ofiarowałam mu małą, urzekającą łaskę i biorąc ją w drżące dłonie, złożyłam ją u Bram Królestwa Szachisty. I wydałam z siebie lekko wysoki, ale miękki i uprzejmy głos. Głos z papieru.

Królestwo Szachisty

- Hey! Hej! Proszę pana! Proszę się odsunąć ! Trochę w prawo! O trzy miejsca! Tak! Dokładnie tak !

(Biegnie w moją stronę lub raczej podskakuje jak rozpieszczone małe dziecko, wachlując ściskany w ramionach zabawkowym koniem, prawie tak dużym jak on).

- Masz (wzdycha, kładąc go na ziemię, w białym polu numer (...))

- A teraz, drogi panie, na lewo, proszę. Ach, jaki pan jest miły! Czy spadł Pan z księżyca? Nie zauważyłem jeszcze Pana wśród moich graczy (mówi, pokazując mi swoje figury : królów, królowe i pionki niesamowicie dumne w swoich czarnych i białych kwadratach).

- Powiedzmy, że zrobiłem sobie międzyrządowanie w waszym Królestwie. Nazywam się Marc Lemonde. Jestem Podróżnikiem.

- Podróżnik? Miło mi cię poznać, panie. Ja jestem szachistą.

- Czy to jest... praca?

- To... ja. Jestem tym, czym jestem. To wszystko, co wiem. I gram.

- Noc i dzień?

- Noc i dzień?! Co za dziwne pytanie!

Co to jest noc? Co to jest dzień? (chciałabym jemu odpowiedzieć, przynajmniej powiedzieć "cóż za niewiedza!", ale Gracz wziął mnie za rękę i przeciągnął na inne pole, tym razem czarne).

- Odpocznijmy przez chwilę. Zaraz przybędzie Jej Wysokość Królowa i muszę jej oddać hołd.

- Ale... to wy będziecie ją nieść na jej pole!

- Oczywiście, że tak! To jest gra! Takie jest życie! (powiedział, wyciągając z kieszeni małe lusterko). Wyglądam dobrze, prawda? Bez wątplenia jej Wysokość Królowa będzie podziwiał mój wygląd, mój strój! (westchnął, zachowując swoją pozę).

- Spraw mi przyjemność i weź udział w ceremonii! (powiedział, odwracając się z powrotem do mnie, jego oczy błyszczały).

- Chętnie wziąłbym udział, ale niestety...

- Chcesz przegapić królewską ceremonię? Szkoda!!! Przygoda dopiero się zaczyna! Królowa może zostać porwana! Może potrzebować naszej pomocy! Co za szkoda! Ale... skoro nas opuszczasz, pozwól, drogi panie podróżniku, że złożę ci mały datek.

(A gdy to mówił, wyjął z kieszeni mały banknot i wsuwając mi go do ręki, odszedł, krzycząc):

- Zostawiam was! Oboje ogłaszają przyjazd królowej. Bon voyage, Sir!

(I zostawił mnie pośród ogromu samotnych czarno-białych kwadratów. W oddali jakieś pionki zanudzały się na śmierć).

Jeśli chodzi o mnie, to zanim opuściłem ten świat figlarny, przeczytałem to co było napisane na bilecie :

"Gram, skaczę, więc istnieję. Bo ważne jest, żeby iść, iść, nawet jeśli nie zawsze trafiasz tam, gdzie chcesz. Ważne jest to, żeby się bawić".

Królestwo włóczęgi

(Światła, małe cienie, kolory, idealna cisza, niemal banalna sceneria).

- Dzień dobry panu. (Staram się być uprzejmy, bo z tego co widzę jest jedynym mieszkańcem tego małego zielonego królestwa).

- Cześć (odpowiada, jego dziwnie białe małe dłonie trzymają niebieski patyk. Pali śliczną małą czerwoną fajkę i wykrzykuje ze śmiechem) :

- Co za dziwny z pana człowiek!

(Rozglądam się dookoła. Nikogo innego nie ma... ponownie się śmieje).

- Och, jaki jesteś zabawny w swoim dziwnym ubraniu i z dobrodusznym spojrzeniem!

- Nazywam się Marc Lemonde.

- Wagabund do usług! (odpowiada śmiejącym się głosem, ściągając kapelusz. Oddaje mi ukłony, w stylu Ludwika XIV).

- Miło mi pana poznać, panie Vagabond. Czy mieszka pan sam?

(Ponownie zaczyna się śmiać. Ależ wesoły wędrowiec).

- Sam? A mój kapelusz? Co z nim? I mój kij? I mój wygląd włóczęgi ? Wyglądam całkiem dobrze, nieprawda ?

(A oto on, pozujący z jedną ręką na biodrze i patrzący z góry. Jest wędrowcem bardzo dumnym z siebie).

- A co robisz w codziennym życiu, z kapeluszem, kijem i swoim wyglądem włóczęgi ?

- Duszę się! Pomóż mi! Pomóż mi! Co ja robię? Co ja robię? Ale ja jestem WŁO-CZE-GA ! To bardzo szlachetna praca! Przechadzam się cały dzień, dużo

się śmieję, jem na ulicy, śpię na ulicy, tańczę na ulicy, żyję na ulicy, jak wszyscy włóczędzy.

- I... czy jesteś szczęśliwy?

- Żartujesz? Oczywiście że jestem szczęśliwy... dlaczego miałbym być smutny? To jest wszystko, co chcę robić w życiu. To wszystko, co lubię robić. Pracuję wiesz? Na swój sposób. I ja też mam swoje znaczenie na tym świecie. Intryguję, smucę i ożywiam. Myślisz, że to niewiele? A ty? Powiedz mi! (A ponieważ moja odpowiedź utknęła mi w milczących ustach, wziął swój kapelusz i laskę, i obdarzając mnie kolejnymi ukłonami, tym razem jeszcze niższymi, bardziej majestatycznymi, dodał, znacząco):

- Przepraszam, mój drogi Marc Lemonde. Muszę wyjechać jak najszybciej. Za kilka godzin, na drugim końcu mojego królestwa (jakże to daleko! to w sumie trzy lub cztery metry!) odbędzie się Konferencja Małych Samotnych Wędrowców, której jestem przewodniczącym (kolejny wielki ukłon!) i muszę przygotować moje wystąpienie na temat "Wędrujący umysł - zasady i charakterystyka".

(Mówi, oferuje mi - o, Boże grzeczności! - kolejny ukłon warty królewskiej wspaniałości. Zostawia mnie gwiżdżąc i podskakując, zabawny i mały w samotnym małym świecie, a ja chcę krzyczeć, płakać i śmiać się jednocześnie. Jak dobrze jest móc być samowystarczalnym, być szczęśliwym w swojej samotności, wyobrażać sobie sens swojego życia)!

Królestwo Motyli

Mały papierowy księżyc przyozdobił się czarnym jedwabnym welonem, gdy Marc miał przekroczyć próg nowej ziemi. Gwiazdy też, zmęczone nieustannym wybuchaniem, zrobiły sobie krótką przerwę za kurtyną z chmur.

Na początku Marc poczuł straszny przeciąg. Czuł się tak, jakby znajdował się w wirze. Do jego uszu dotarł mały, samotny dźwięk: wątłe, nieśmiałe trzepotanie skrzydeł. Potem kolejne. I kolejne. A w miarę jak posuwał się dalej w ciemność, uderzenia skrzydeł mnożyły się, dźwięki stawały się bardziej wyrafinowane, i nagle narodziła się muzyka: dziwna, gwiazdna, kojąca.

Z nosem w górze, wdychając zapach, którego źródła nie potrafił odgadnąć, Marc nagle poczuł, że zostaje przewrócony w wysokiej trawie. Ostry ból sparaliżował jego małe ciało. Zemdlał. Gdy doszedł do siebie, słońce witało go przyjaznym mrugnięciem. Jego ciało było ciężkie i ledwo mógł wstać. Nad tym nowym, nieznanym światem panowała idealna cisza. Marc otworzył oczy. Przed nim stał majestatyczny posąg biały, zimny, ogromny, olśniewający w jasnym świetle poranka. Był to marmurowy motyl, którego skrzydła, usiane w reliefie małymi motylkami, zdawały się unosić w miękkim powietrzu. Z małego papierowego

ciałka wydostał się wysoki okrzyk. Krajobraz zaparł jej dech w piersiach. W powietrzu rozchodziła się nieznana słodycz. Kwiaty. Mnóstwo kwiatów. Kwiecisty świat, gdzie miękkie, wyrafinowane kolory mieszały się z najśmielszymi akcentami. Wykwintny błękit w sercu chabrów rozpościerał się przed piaskowym różem bukietu piwonii. Ogromne maki konkurowały z białymi chryzantemami, których płatki wyglądały jak supeł tańczących węży. Róże o małych, złotożółtych kwiatach przylgnęły do skał usianych petuniami, których czarny aksamit wydawał się nierealny. Przebiśniegi wychylały się niedyskretnie w stronę delikatnych niezapominajek, a bzy roztaczały nad doliną swoje urzekające perfumy. Nieco dalej znajdowało się wzgórze obleczone w fiołki, a przed nią kolejne usiane stokrotkami.

Marc pochylił się do ostrokrzewu, by wdychać jego zapach. Nagle eksplozja kolorów, po której nastąpił potok płatków, zdołała zburzyć ciszę tego małego rajskiego zakątka. Motyle wszelkiego rodzaju. We wszystkich kolorach. Armie motyli. Karłowate motyle tańczyły w powietrzu wśród gigantycznych motyli. Świat motyli. A pośród nich, wąty i przestraszony, Marc, z bardzo szybko bijącym papierowym sercem.

"Królestwo Motyli" - wyszeptał ze zdumieniem.

W tym momencie ziemia wokół niego zaczęła się poruszać. Ogrody i wzgórza stały się jak wzburzone morze. Kwieciste fale unosiły się w *motylowym* powietrzu i wydawało mu się, że jakiś olbrzym wziął to królestwo w swoje ręce, potrząsając nim jak dywanem. Albo, że pod tą kwiecistą ziemią pływają dzikie potwory. Symfonia trzepoczących skrzydeł również brzmiała jak zła pieśń.

- Hej Panie! - krzyknął Mark, zataczając się w wysoką trawę. Zachowywał się zabawnie z rękami w powietrzu. Hej, Panie! - kontynuował. Pomóż mi!!!

- To efekt motyla - zdołałem wyartykułować, trzęsąc się ze śmiechu. Dla mojego papierowego człowieka wyglądało to zabawnie.

- Efekt czego? - zapytał, również wstrząśnięty przez drżącą ziemię.

- Efekt motyla - powiedziałem. Kiedy próbowałeś pogłaskać kwiat, śpiące motyle zaczęły nerwowo trzepotać skrzydłami i to właśnie ich niekontrolowany ruch powoduje drżenie i wszystko inne.

- A co ze mną? Co mam teraz zrobić? - spytał Mark tak wysokim głosem, że ponownie zacząłem się śmiać.

I zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, mój mały człowiek został złapany w wir skrzydeł, które uniosły go w powietrze. Wysoki krzyk wydostał się ze skrzydlatego potwora...

Leżąc w wysokiej trawie przy bramie do Królestwa Motyli, Marc westchnął jak rozpieszczane dziecko. Nieco dalej, w idealnym ogrodzie, nad kwiatami zapadła cisza. Kilka cichych i obojętnych motyli bawiło się w chowanego. A pośrodku

tego kwiecistego raj u marmurowy posąg uśmiechał się enigmatycznie.

Królestwo drzew

Był wysoki, miał zielone włosy i jasne oczy. Zastałem go jednak bardzo ponurego i w złym nastroju. To dlatego, że poprzedniego dnia stracił kilka zbuntowanych liści, jak mi później powiedział. A teraz, siedząc przed drżącymi zielonymi stertami, przemawiał do nich jak mistrz prorok :

"Nasza Wysokość, Wielkie Drzewo, informuje was, że w wyniku waszego niekontrolowanego działania, straciliście swoje *liściaste* prawa. Nigdy już nie poznacie wspaniałości uniesień, poza tymi chwilowymi, jeśli Pan Wiatr uczyni wam zaszczyt i poniesie was, na kilka chwil, na swoich skrzydłach. Zli! Niewdzięczni! Straciliście prawo do zarabiania na wasz codzienny absynt. Jaki będzie wasz los od tej chwili ? Och, biedacy! Nic tylko włóczęga, susza, zgnilizna, zapomnienie! Nic więcej!"

A gdy to mówił, zamknął oczy i z głuchym szumem stanął w całej swej cesarskiej okazałości. O, jaki był wysoki! Ach, ta piękna jasna zieleń jego krzaczastych włosów!

- Dzień dobry, Wasza Wysokość! - wyszeptałem, poruszony. Bo w obliczu takiego majestatu...

- Witaj, mój mały hrabio! - odpowiedział szybko, swoim majestatycznym powietrzem.

- Hrabia? - wykrzyknąłem, oszołomiony. Nie jestem hrabią. Nazywam się Marc Lemonde.

- Hrabia to tytuł, który nadaję (jakże hojnie! pomyślałem) wszystkim tym, którzy przewijają się przez moje zielone imperium i przychodzą mnie pozdrowić. Ale - dodał - ty z pewnością, z pewnością wyglądasz jak prawdziwy hrabia. Hrabia Marc Lemonde. I, wierz mi, to brzmi dobrze!

Wbiłem w niego swój najintensywniejszy wzrok i zamknąłem oczy, na kilka chwil, aby zapisać w nich jego obraz, jak najwierniej, i móc, pewnego dnia, przenieść go do albumu moich podróży.

- Gra w klasy ? Zabawa w chowanego ? Skakanka?

- Co?! Ja... to znaczy... przepraszam?

- Pytałem... czy... no... czy... zagrałbyś... ze mną...?

- Granie?! Lubisz... grać? Ależ ty... Wasza Wysokość... taki poważny... taki...

- Kocham to! Uwielbiam grać! (Jego korę zdobił piękny, drzewny uśmiech. Jaki on był zabawny! Olbrzym o sercu dziecka! Dziecko ukryte w ogromnym strumieniu zieleni!)

- Bawmy się, mój drogi hrabio! Zagrajmy "ku szczęściu bycia razem"!

Królestwo Legend

"Dawno, dawno temu, w niepamiętnej przeszłości, żył sobie bardzo grzeczny i uśmiechnięty mały człowieczek, który zawsze trzymał w ręku małą urzekającą łaskę i który uwielbiał podróżować. Miał czarne oczy..."

- Jak ja - powiedział nasz Marc, dość zaskoczony tym, że na jego oczach rodzi się książka.

Zamknął ją, położył u stóp i patrzył w zachwycie na rozciągający się przed nim krajobraz. Czuł się bardzo mały, jak mrówka, mała kropka w ogromnym polu, które rozpościerało się u jego stóp. Pole książek. Książek wszelkiego rodzaju, rozrzuconych dookoła niego, książek dziecięcych, ledwie napisanych, książek w trakcie narodzin (Marc odkrywał, oszołomiony, jak strony wypełniały się słowami i obrazami), starych książek o wyblakłych okładkach, pożółkłych liściach, których zmarszczki wplatały się między linie. Siedząc wśród nich, Marc odkrył, że z tych wszystkich tysięcy słów wychodziły słowa, które unosiły się na wietrze, mówiły, krzyczały, szeptały.

Opowiadały w swój własny sposób. Ich głosy mieszały się w staroświeckim powietrzu. Nad polem książek uśmiechało się słońce. Piękne papierowe słońce. Zanurzony w chmurze złotego pyłu jeździec zatrzymał się gwałtownie, pociągając głowę swojego niespokojnego małego konia w stronę strzemienia. Zdjął dużą niebieską maskę. Marc ujrzał uśmiechniętą twarz dziewczyny o czarnych, kędzierzawych włosach. Jej skóra również była czarna jak heban. Wyciągnęła do niego delikatną dłoń.

- Mira - powiedziała, po prostu.

- Marc - westchnął, nieśmiałym głosem. Jaka ona była piękna!

- Jest Pan tylko przejazdem, jak sędzę - powiedziała. Niech zgadnę: jest Pan nowym sekretarzem Jego Wysokości Najwyższego Pisarza, prawda? Nie spodziewaliśmy się Pana dzisiaj.

- Och, nie... ja... nie jestem... sekretarzem - zająknął się, zmieszany. Jestem tylko przejazdem. Innymi słowy, jestem tylko podróżnikiem - powiedział chrypliwie.

- Podróżnik! Ach, dobrze! Nie spodziewałem się tego. Czy to jest praca? Czym dokładnie się zajmujesz?

- Podróżuję, podziwiam, obserwuję... To wszystko.

- Mój Boże! Ale to musi być bardzo ciekawe! Podróżowanie, podziwianie, obserwowanie! Nigdy nie podróżowałam. Nigdy nie opuściłam Królestwa.

- Jakiego Królestwa?

- Królestwa Książek. Albo, jak kto woli, Królestwo baśni i legend.

- I... Jego Wysokość...

- ...Najwyższy Pisarz. To mój ojciec. Zawsze jest zajęty. Zbyt zajęty, niestety - westchnęła. Píše non stop, od rana do nocy. Rzadko go widuję.

- Więc jesteś...

- Księżniczka Mira. Tak - powiedziała monotonnym głosem. Księżniczka. I to jest właśnie to. To nie znaczy, że lubię nosić ładne koronkowe sukienki, krzywić się i chodzić na różne nudne przyjęcia. To zadanie dla mojej matki. Królowa Libra. Jest w tym bardzo dobra, tak przy okazji. Jeśli chodzi o mnie, to lubię wolność. Ruch. Zmiany. Dziś rano po prostu zaproponowałam rozdawanie pamiątek. Wzięłam więc pudełko, włożyłam do niego kilka opowieści i... oto jestem! Chcesz się poczęstować?

- Dziękuję - zająknął się Mark, zarumieniony. Sięgnął do małej skrzyni, wyjął książkę i zaczął ją przeglądać.

- Och, jakie piękne obrazki! - wykrzyknął, podnosząc swoją małą papierową główkę.

Ale Mira zniknęła. W oddali, gdzieś w bezkresie książek, Marc słyszał echo jej małego, szczęśliwego głosu:

"Legendy-wspomnienia! Legendy-wspomnienia!"

Mark usiadł na dużej kamiennej księdze i zaczął czytać.

Legenda o porach roku

*"Lubię wiosnę ubraną na różowo,
Lubię słoneczne lato,
Ja wolę trochę ponurą jesień.
A co z tobą? Zimę całą w śniegu".*

Dawno, dawno temu, kiedy czas płynął bez miary, gdzieś na tej ziemi żył bardzo bogaty człowiek, który nazywał się An i miał cztery dziewczynki. Jego żona zmarła dawno temu, a on sam zajął się ich edukacją. Dziewczynki, mimo że były siostrami, nienawidziły się. Ale jednocześnie każda bardzo kochała swojego ojca i chciała być jego ulubienicą. Staruszek An, który jako dobry ojciec kochał wszystkie cztery, był dobrym i mądrym człowiekiem, który marzył o spokojnym życiu. Chciałby, żeby się kochały i żeby się pogodziły. Ale na próżno. Ich niezgoda nigdy nie ustawała. Lato, które kochało wielkie słońce i mżawkę, zieleń i żyzne pola, nienawidziło Jesieni, dziewczyny o włosach koloru rdzy, trochę morowej i klótlivej, która wolala deszcz z wielkimi czarnymi chmurami i niepogodę, słodycz owoców i wyblakły liść. Zima, która kochała śnieg i śnieżyce, mróz i grad, nie lubiła swojej siostry, ślicznej Wiosny, wysokiej, gibkiej i wesołej dziewczyny, która kochała ledwo wyrosniętą trawę, wrzecionowate kwiaty, blade promienie słońca i deszcz.

Starzec zawsze próbował zaproponować im pojednanie, mówiąc im, że wszystkie ich przyjemności są pożyteczne i mile widziane, każda w swoim czasie, ale że nie będzie nic smutniejszego niż wieczne wielkie słońce lub nieustający ulewny deszcz, albo wieczna burza śnieżna lub niekończący się wielki mróz. Ale dziewczęta wydawały się głuche na te słowa. Ich spór trwał w ten sposób, aż pewnego pięknego dnia, zmęczony wszystkimi ich złymi słowami i skargami, starzec potępił je w ten sposób:

"Obyście już nigdy nie byli razem! Obyście szły jedna za drugą w wiecznym kole i spotykały się tylko na chwilę, jedna przepędzając drugą, i tak dalej, i tak dalej, w nieskończoność ! I obym ja, ja sam będąc wieczny, wciąż na nowo przypominał wam o tym przekleństwie!

I starzec oddawał duszę, zręcząc strasznie. Jego córki zaczęły się nad nim litować, ale gdy miały już go umyć, doszedł do siebie. Wydawał się młodszy, twarz miał jędrną, w oczach dziwny błysk i pełen nowej siły.

Na oczach zdumionych córek powiedział dzwięcznym głosem:

"Kłątwa została spełniona! Będę umierał i odradzał się, od młodości do starości. A wy, podle córki, wy, które nie umiałyście słuchać głosu kochającego was ojca, poddajcie się! Wiosna, zostań! Zacznę od ciebie, bo jesteś odrodzeniem, nadzieją, pączkowaniem, młodością i optymizmem. Będiesz musiała trochę powalczyć ze swoją siostrą Zimą, która nie podda się zbyt łatwo, mimo wszystkich moich wysiłków w przekonywaniu.

Wy, inne, znikajcie! Pojawicie się ponownie później, każda w swoim czasie. I pamiętajcie o tym: każda z was jest pożyteczna dla przyrody, dla Ziemi i jej mieszkańców. I choć może nigdy nie uda wam się pokochać siebie nawzajem, ludzie będą was wszystkich kochać. Niech krąg, który właśnie zaczyna się kręcić, nigdy się nie zatrzyma!

I koło zaczęło się kręcić. I lato szło za wiosną, jesień za latem, zima za jesienią, wiosna za zimą...

- Jakże piękna jest ta legenda! - wykrzyknął Marc radośnie.

I gdy to mówił, zaczął czytać drugą legendę:

Legenda o słoneczniku

*"Obróć się, obróć się, Słoneczko! Słońce,
Co za cud! Jego promienie,
Jakie piękne prezenty!
Odlatuję... Jakże to zabawne!
Kręć się, Słoneczniku!"*

Pewnego razu żyła sobie młoda dziewczyna o imieniu Fleur. Rodzice nadali jej to imię, ponieważ od najmłodszych lat urzekła wszystkich swoją niezrównaną

urodą. W miarę upływu czasu stawała się coraz piękniejsza. Nikt nie mógł pozostać obojętny na jej wygląd. Była piękna, ale jednocześnie mądra, pełna wdzięku, radosna, towarzyska i inteligentna. Niejednokrotnie, przemierzając kraj, przechodnie zatrzymywali się przed jej drzwiami, chcąc ją zobaczyć i posłuchać. Fleur miała bowiem słodki, krystaliczny głos i śpiewała jak bogini. Jednym słowem, była cudowna. Ale - bo zawsze jest jakieś "ale", które zakłóca spokojne i radosne życie człowieka - pewne wydarzenie i jego konsekwencje zmieniły szczęście tej rodziny w nieszczęście. Pewnej pięknej nocy Fleur przyśniło się, że podszedł do niej młody mężczyzna ubrany w ognisty płaszcz i szepnął cicho:

"Będiesz moja na zawsze, mój piękny Kwiecie." Następnie, zanim zniknął, pocałował ją w czoło.

Od tego czasu Fleur zmieniła się, stała się smutna i melancholijna. Dni spędzała samotnie, ukryta przed wzrokiem obcych ludzi, czasem wypatrując kogoś ze swojego okna: wydawało jej się, że z daleka, wysoko, macha do niej jakiś młody człowiek. I czuła pieczenie na czole.

Tymczasem przed domem Fleur zaczęli paradować swaci. Ze wszystkich stron zjeżdżali się młodzi mężczyźni, którzy chcieli ją poznać, porozmawiać z nią. Ale Fleur mogła widzieć tylko Słońce. Tak, młodzieniec z jej snu był Słońcem - powiedziała marzycielsko, a jej matka zapłakała z żalu. Czy Fleur oszalała? Dziewczynka, jej niegdyś słodka córka, była teraz zupełnie sama i nieustannie wzdychała. Płakała bez powodu, jej oczy były coraz bardziej ponure, a melancholia stopniowo brała górę. Na próżno stare kobiety rzucały za nią zaklęcia. Nic nie koło jej cierpienia.

Nikt nie wiedział nic więcej o jej śnie. Nikt nigdy nie wiedział, czy ten dziwny młodzieniec pojawił się ponownie. Pewnego ranka, po wejściu do pokoju Fleur, matka zatrzymała się w miejscu: Fleur leżała w łóżku, wyglądając tak, jakby próbowała kogoś pocałować. Była martwa.

Cierpienie rodziców nie знаło granic. Mieszkańcy z wielkim trudem przekonywali ich do opuszczenia cmentarza. Chodzili tam dzień i noc, płakali i błagali niebo. Ale niebo milczało, jak zawsze.

Pewnego ranka odkryli na grobie małą roślinkę, która ledwo rosla. Wyrosta przypadkowo. Kilka tygodni później zakwitła. Mały żółty kwiatek. Pewnego dnia, kiedy przyszli, jego płatki były zupełnie rozchylone. Duży i żółty, jak włosy Fleur, i taki piękny! Wszyscy byli zdumieni, gdy zobaczyli, że kiedy wyszło słońce, kwiat obracał swoją wielką blond głowę w jego stronę. Gdy słońce zniknęło, obracał się i obracał bez wytchnienia. O zmierzchu opuszczał głowę, smutny. Ludzie mówili,

że kwiat był znakiem, że Bóg, wzruszony cierpieniem obojga rodziców, zsyłał im kwiat, który przypominał Fleur. A ponieważ tak bardzo kochała słońce, i zawsze zwracała ku niemu twarz, nadano jej imię Słonecznik.

Przed jesienią słonecznik zaowocował: w jego "brzuchu" pojawiły się setki nasion, jadalnych nasion, z których wyciśnięto dobry, bardzo delikatny olej. Wtedy ludzie pomyśleli o pragnieniu Fleur, by być użyteczną. Te nasiona były owocem jej dobroci i miłości do bliźnich. Od tego czasu słonecznik był kochany i doceniany wszędzie tam, gdzie klimat pozwalał mu rosnąć. A jego legenda dotarła do nas przez wieki.

Wzdychając, ze smutnym wyrazem twarzy, Mark przygotował się do przeczytania trzeciej legendy. Była to...

Legenda o marzeniach

Sen... co za szczęście! Witam Twój powrót tysiącem głosów moich tysięcy nocnych istnień!

Na początku świata ludzie spali głęboko, nie śniąc. Dlaczego tak robili? Ponieważ, po prostu, sny jeszcze nie istniały. Sen był grubym człowiekiem, bardzo starym, nudnym, kapryśnym, bez wyobraźni.

Gdzieś na ziemi, w tych odległych czasach, była piękna, majestatyczna i tajemnicza wysoka góra, której niebieskawy blask zadziwiał ludzi. Nie, to nie był miraż. Góra była jasnoniebieska, ale tu i ówdzie pojawiały się ciemniejsze plamy. Nikt o tym nie wiedział, ale starcy mówili, że góra pokryta jest dużymi kwiatami, które wyglądały jak puchary pomalowane na różne odcienie błękitu. Podobno miały bardzo silny, odurzający zapach. Nikt nie odważył się podejść do nich zbyt blisko, tylko po to, by popatrzeć lub zerwać jeden. Z ojca na syna przekazywana była obawa i przepowiednia, że kto odważy się dotknąć lub nadepnąć choćby na jeden kwiat, spotka straszny koniec, a wszystkich pozostałych spotka straszne nieszczęście.

Co to za nieszczęście? Nikt o tym nie mówił. Strach trzymał ich wszystkich z dala od góry. Strach, a także uczucie czci dla tego boga, który na ich śmiertelnych oczach pojawił się w postaci góry usianej nierzeczywistymi niebieskimi kwiatami.

Ale pewnej nocy - nie wiadomo kiedy i jak - pasterz z dalekiego kraju zatrzymał się na krótko u stóp góry. Zobaczył kwiaty i wpadł w ekstazę. Nie znając ich tajemnicy, nie bał się ich i podchodził coraz bliżej. Blask kwiatów rywalizował z blaskiem gwiazd. Bowiem świeciły magicznie w nocy. Wydawały się być kielichami pełnymi niebieskiego światła i pasterz nie mógł oprzeć się pokusie, by zerwać jeden z nich.

Wtedy rozległ się straszliwy ryk, który zdawał się pochodzić z głębi ziemi i bardzo głośno, coraz głośniejsze, wtargnął na niebo i wszystko zaczęło wirować, a w tym szalonym wirze pasterz upadł jakby porażony piorunem.

Przed swoimi drzwiami przerażeni mężczyźni mogli zobaczyć, jak góra zaczyna się kołysać i nagle oślepił ich bardzo, bardzo głośny wybuch...

O świcie górę zastąpiła niezwykle głęboka przepaść, a z jej wnętrza wzniosły się niebieskie płomienie. W nocy zamieniały się one w ptaki - wielkie niebieskie ptaki - a ludzie byli przenoszeni na ich skrzydłach do nieznanych krain. Nie wiemy, dlaczego nazwano je snami. Dzięki nim nocą uciekamy z realnego świata i wchodzimy w tajemne miejsca, gdzie każdy może zostać królem lub niewolnikiem, bogiem lub żebrakiem. Każdej nocy, dzięki nim, poznajemy nowe światy, nowe doświadczenia i moglibyśmy powiedzieć, czemu nie, że sny oferują nam nowe istnienia, nieznane w ciągu dnia, ale tak realne, gdy nadchodzi noc.

*Zamknij oczy, mój mały, zamknij je
powoli... Niebieski ptak przyleci...*

- Och - westchnął Mark. Ja też chcę się przespać. Czuję się bardzo zmęczony. Czy niebieski ptak przybędzie?

Królestwo Oczu

Jedno oko. To wszystko, co widziałem, panie pisarzu. Ogromne oko, składające się z tysięcy maleńkich oczek. Z początku człowiek czuł się nieswojo w całym tym przemyśle spojrzeń. Te wszystkie czarne, fioletowe, zielone, czerwone, szaroniebieskie oczy, które nieustannie mnie obserwowały, to było zbyt wiele.

- Zastygłe ? - zapytał mojego małego papierowego człowieka.

- Nie, wręcz przeciwnie - odparł. Błyskotliwe, pełne ciepła, bardziej ludzkie niż człowiek nawet. Uśmiechnięte i śpiewające.

- Śpiewające ?

- Tak, to było to. Wokół mnie rozbrzmiewała dziwna symfonia, ale tak pocieszająca! To była muzyka oczu.

- Ale... oczy... są do patrzenia,

- Mówisz o swoich własnych oczach, których używasz do śledzenia, do odkrywania. Niestety, pozwalają one zobaczyć tylko ograniczony wszechświat. Ograniczony, kwadratowy, uporządkowany wszechświat. Banalny. Natomiast te inne oczy... Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, ale one mnie przenikały, wdzierały się we mnie, pieściły moją duszę. I ta niebiańska muzyka, która rozsiewała takie szczęście...

Udało mi się nawet z nimi porozumieć, w pewnym sensie. Ich muzyka zalewała mnie, przekazywała ich przyjaźń. Strumień przyjaźni, który płynął przez moje żyły. Szeptaly mi do ucha: "Witamy, witamy! Jeśli podoba ci się nasze Królestwo, jeśli lubisz nas, witaj! Zostańcie tutaj! Ale jeśli chcesz odejść, niech nasz dom będzie dla ciebie oazą spokoju i odpoczynku". To jest tak dokładne tłumaczenie ich muzyki, jak to tylko możliwe.

Kiedy w końcu zdecydowałem się wyjść, zaczęły płakać jak zagubione dzieci, już prawie pływałem w rzece łez. Brakowało im gości, biedactwa!

Największą przyjemność sprawiała mi możliwość zabrania ze sobą ich dziwnej i uwodzicielskiej muzyki w małym oczku, które w czasie odlotu delikatnie wsunęło się w moją dłoń.

Opuściłem Królestwo Oczu, którego z wielkim żalem i pewnego dnia obiecałem, że wrócę.

Do Śmiejącego się Królestwa.

- Ha, ha, ha! Hi, hi, hi! Ho, ho, ho! Ja... ha, ha! Byłem... hi, hiii... byłem sam w małej dolinie i... hii... hi, hi... zerwałem mały kwiatek... był tam... ho, hooo... i ten jego zapach... hi, hiii... Wszyscy wokół mnie... ha, haa, ha... śmialiśmy się... hi, hi, hiii... śmialiśmy się, a co! Ha, ha! Hi, hi, hiii....

A Marc Lemonde nadal śmiał się i śmiał, jego oczy były pełne łez. Wiedziałem wtedy, bez wątplenia, że odwiedził Królestwo Śmiechu. I w jego wielkich czarnych oczach zobaczyłem śmiech: tysiące uśmiechniętych ust. Ale to, czego nie mogę przekazać wam na piśmie, to ich dźwięk, muzyka tych tysięcy zróżnicowanych śmiechów i pragnienie, jakie dawały, by śmiać się bez końca.

I ja... ha, ha... ja hi, hi... też zacząłem się śmiać... hi, hi... we wszystkich odcieniach... ha, ha, ha... we wszystkich możliwych odcieniach... hi, hiii... i niemożliwych i ho, ho, ho... na końcu... ha, ha... kiedy prawie umarłem ze śmiechu - jakże prawdziwe jest to wyrażenie! - Czułem się tak ukojony, tak opróżniony z wszelkiego smutku, z wszelkiej goryczy, z wszelkiego zła! Cały wszechświat wydawał się gigantyczną maszyną do śmiechu. Miało się wrażenie, że całe zło na świecie zostało wyparte. Wszędzie w powietrzu panowała atmosfera niewytłumaczalnego szczęścia. Papierowe niebo również śmiało się pokazując wszystkie swoje zęby.

- Ha, ha, ha! Życie jest piękne - krzyknął Marc - choćby dla tego wielkiego śmiechu, który robi nam tyle dobrego! Hi, hi... Jaki ja jestem zabawny, z tym dobrym śmiechem, który mnie zalewa! Po raz pierwszy czuję się tak zrelaksowany, tak pogodny, tak spokojny, tak szczęśliwy! Chciałabym, żeby nie

tylko w tym papierowym świecie, ale we wszystkich możliwych światach były sesje śmiechu, lekcje śmiechu, terapie śmiechem, rozprawy o śmiechu, żeby śmiech był obowiązkowy w szkołach, żeby był też Kościół Śmiechu, Prawo Śmiechu i żeby karano tych, którzy są wredni, tępi, źle nastawieni, egoistyczni czy obojętni! Hiii... hiii...

- Ale... hi, hi... ty... ha, ha... płaczesz... ho, ho... ha... płaczesz... no... hi, hi, hiii....

- Ja... hi... ja... ho... płaczę ze śmiechu... ha, ha... hi, hiii...

Nad nami gwiazdy również śmiały się w tysiącach odcieni. A na śpiącej wydmię Królestwa Śmiechu padał śnieg z ich łez śmiechu. Symfonia płaczu-śmiechu wtargnęła w noc.

Królestwo Luster

- Tysiące luster?

- Tysiące? Może. Ale ważne jest to, że wszystko było tak piękne, tak imponujące, że prawie zostałem tam na zawsze. Na podłodze były lustra, mieniały się dywan...

- Jezioro luster?

- Ach, nie, to byłoby zbyt banalne. Bo tym, co nadawało jemu fascynujący, wykwinny wygląd, był labirynt luster, które delikatnie latały, wirowały, walczyły w lodowatym powietrzu. Jak opisać wam moje zdumienie, to wszystko, co czułem patrząc na siebie, odkrywając i pożerając siebie we wszystkich swoich obliczach, czując, że we mnie samym są tysiące Marc'ów, jeden bardziej złożony od drugiego? Gubiłem się i odnajdywałem kilkakrotnie. Na kilka chwil stałem się więźniem swojego wizerunku, ale daleki od stania się narcystyczną istotą, umierającą z pasji dla samego siebie, zdołałem rozbić swoją duszę na kawałki, by móc ją ofiarować wszystkim tym, którzy kiedyś będą potrzebowali odrobiny człowieczeństwa. I Marc wyszedł z labiryntu z poczuciem triumfu i spokoju.

"Każdy z nas ma swój własny mieniały się, zwodniczy i przygnębiający labirynt" - deklamował, niczym mądry starzec z początku świata.

Uśmiechnąłem się. Mojemu papierowemu bohaterowi udało się uciec od moich myśli. Miał swoje własne myśli, swoje pytania i wątpliwości. I swoją mądrość.

Królestwo Spustoszenia

- Hej, panie pisarzu! Obudź się! To ja, Marc. Widzisz mnie, prawda? Wyobrażam go sobie, jak skacze po wnętrzu wielkiej kuli, w której bez końca

pada śnieg. Mimo płatków śniegu krajobraz jest zamarznięty, szarawy, zaspany. Jednym słowem, opustoszały. A przede wszystkim jest biedny Marc, który skacze jak szalony, wymachując rękami.

- Hej! Panie pisarzu! Spójrz na mnie! Pewnie zastanawiasz się, jak się tu znalazłem. Nie mogę ci powiedzieć. Ale powietrze jest opustoszałe. Krajobraz jest też wyjątkowo smutny. I mam ochotę płakać.

- Ale oczywiście że chcesz płakać. Bo z tego, co widzę, wpadłeś do Królestwa Spustoszenia - krzyczy za nim zachrypnięty głos. Marc odwraca się i widzi niskiego starca w ubraniu zbyt dużym na jego drobne ciało i z brodą sięgającą do kolan. Ma przepraszający wyraz twarzy, rozczochrane włosy i podniszczone buty... zgadliście, przepraszający.

- Eric Desolant do twojej dyspozycji - powiedział zachrypniętym głosem, wyciągając smutną dłoń w stronę Marka. Moi przyjaciele nazywają mnie po prostu Deso.

- O, tak, to dobre imię dla ciebie; dobrze komponuje się z twoim smutkiem. Mały człowiek odpowiada coraz smutniejszym głosem (wydaje się, jakby cieszył się z tego, że jest smutny, że jego szczęście rymuje się ze smutkiem). A z jego prawego oka ucieka duża łza.

- Jest pan bardzo smutny, panie Deso - kontynuował Marc. Czy mogę zapytać, co się panu stało? Czy było to nieszczęście? Wypadek? Śmierć bliskiej osoby?

- Nie, nie, wszystko jest w porządku. Wszystko w porządku. Lubimy nieszczęścia. Sprawia, że płaczemy, a tak dobrze jest płakać!

- Ale nigdy się nie uśmiechasz? Trochę śmiechu? Mały żart? Nigdy?

- Śmiech, uśmiech? Co to znaczy? Co to jest żart?

Marc wygląda na strapionego. Ma ochotę się rozplakać, co nie uchodzi uwadze Deso.

- No proszę - powiedział smutniejszy niż kiedykolwiek, klaszcząc w swoje małe rączki. Proszę bardzo.

- Przepraszam? - wykrzyknął Marc.

- Twój smutek. Bardzo dobrze komponuje się z liniami twojej twarzy. To smutek dobrej jakości. Moi przyjaciele doceniliby to, bez wątpienia. Mógłby pan, jeśli to pana zadowoli, zamieszkać z nami. Zawsze znajdzie się jakiś przykry dom dla nowych przybyszów.

- Bardzo dziękuję, panie Déso, ale muszę iść. Jestem podróżnikiem, więc podróżuję. To moja praca.

- No tak! Szkoda!

- A... inni mieszkańcy?

- Ach, inni! Oni wszyscy, wraz z Jego Wysokością Naszym Łagodnym Smutkiem, są w kościele. Czas na modlitwę. Nasz bóg, Benedykt Pustelnik, oferuje nam swoje błogosławieństwo. Będziemy płakać, krzyczeć, zrywać ubrania, ciągnąć za włosy. To będzie bardzo, bardzo dobry dzień.

- A co wyrażacie w ten sposób...
- Naszą wdzięczność dla naszego Pana Spustoszenia, tego, który błogosławi nasze łzy i smutki. To on dał nam dar tej błogosławionej ziemi spustoszenia.

Dzwony końca świata zaczęły dzwonić w opustoszałym powietrzu.

Deso odchodzi, grzecznie wyciągając smutną dłoń.

- Do widzenia, panie Marc. Życzę Panu wiele smutku i niech opuszczenie będzie z Panem, niech towarzyszy Panu wszędzie i zawsze.

I biegnie na drugi koniec Królestwa, gdzie dzwony wciąż biją w powietrzu.

- Hej, panie pisarzu! - krzyczy Marc w kierunku papierowych chmur. Czy mnie słyszysz? Wpadłem w ocean spustoszenia. I chce mi się płakać.

Na szczęście (jakie ładne słowo!), mam swój mały kwiatek i jego zapach... hi, hi! ha, ha!....

Biedny Marc zaczyna się śmiać aż do płaczu, a muzyka jego radosnego śmiechu zdoła przykryć gorzkie tony spustoszonych dzwonów. Z małego roześmianego kwiatka wylatuje biały ptak i biorąc go na swoje skrzydła, unosi go z tego szarego królestwa.

- Hi, hi, hi! - Marc kontynuuje z powagą, podczas gdy w samotnej kuli nad nim śnieg pada bez końca...

Królestwo równowagi

Leżąc w wysokiej trawie wśród dzikich stokrotek, Mark poczuł na swojej twarzy pieszczotę welonu. Otworzył oczy i wziął welon w swoje ręce. Mały czerwony welon, który idealnie komponował się z małymi niebieskimi kroplami nieba, które ślizgały się po białych stokrotkach. Znowu zamknął oczy, trochę rozkojarzony, i wznowił swoją zadumę. Nowa pieszczota, nowa mała zasłona, tym razem żółta. Marc wstał, ponownie otworzył swoje duże oczy.

Nad kwiecistą łąką rozciągała się gruba lina, której końców nie było widać. Tańczyła w powietrzu, pod stopami akrobaty. Tak, akrobaty, który wydawał się całkiem zwinny i sympatyczny. Wydawało się, że urodził się tam, na linie. Jego ruchy były tak precyzyjne, że bez problemu udawało mu się utrzymać równowagę. Robił nawet małe piruety, unosząc w powietrzu jedną stopę, potem drugą, z gibkością baletnicy. Zobaczył Marca i siedząc na linie jak na huśtawce, pozdrowił go niskim głosem:

- Hej, hej, mały człowieku!
- Dzień dobry panu - powiedział Marc, nieco zirytowany niegrzecznym powitaniem.
- Chodź, wejdź na linę. Podskocz trochę i podaj mi swoją małą rączkę.
- Ha, ha, ha - powiedział Marc, wciąż bardziej zirytowany.

- Myślę, że odrobina równowagi dobrze by ci zrobiła.
- Trochę równowagi?
- Ależ tak. Skoro przejeżdżasz przez Krainę Równowagi, powiadasz?
- Czy to ty jesteś jej właścicielem?
- O nie, jestem kimś w rodzaju podwładnego. Najwyższym przywódcą jest nasza Wysokość Equilibra.
- Kobieta?
- Ale tak, prawdziwa kobieta, dobrze wyważona, w której łagodność i szorstkość idą w parze. Jest dobra dla tych dobrych i zła dla tych złych. Zawsze potrafi zachować równowagę, nawet w najtrudniejszych sytuacjach.

- A co z tobą? Czy nigdy się nie nudzisz, zawsze taki jesteś idealnie zrównoważony ?
- Ach, nie - powiedział akrobata. W końcu po to tu jestem.

Och, biedactwo! - westchnął Mark, odchodząc. ON nigdy nie pozna słodczy niedoskonałych, ale kojących dni. Byłoby bardzo niewygodne i nudne żyć w świecie całym doskonałym i zrównoważonym, zawieszonym ponad prostymi i przemijającymi szczęściami, jak te dzikie stokrotki, które podziwiałem przed chwilą.

Królestwo Emotikonów

Królestwo, które odkrył Mark, miało postać gigantycznej przezroczystej kuli, przez którą widział chaotyczną sieć nici wszystkich kolorów i rozmiarów, wśród których unosiły się małe kule wszystkich kolorów i rozmiarów. Dziwna, boczna muzyka zdołała przejść przez wszystkie przeszkody i rozprzestrzeniła się poza gigantyczną sferę. W małych sferach Marc widział dziwne istoty, również o kulistym kształcie: duża okrągła głowa, wielkie oczy i wielkie usta. Dwie ręce i dwie malutkie stopy przyczepione do głowy dopełniały dziwnego obrazu. W jednej ze sfer młody człowiek machał w powietrzu swoimi małymi rękami. Marc zdał sobie sprawę, że macha do niego.

- Hey! - usłyszał nagle. Rozejrzał się dookoła. Nikogo tam nie było. Ale w jednej z małych sfer młody człowiek wciąż poruszał swoimi małymi rączkami.
- Hej! Tam, tam, drogi panie! Czy mnie Pan słyszy? Sir, sir, sir!

Mark zbliżył swoją twarz do dużej kuli i uśmiechnął się.

- O w końcu ! - powiedział mały młodzieniec, uśmiechając się. Witaj ! Pan jest...
- Marc Lemonde.
- Co za ładne imię! Lemonde. Podoba mi się. Nazywam się Émo Canu
- Przepraszam, ale nie wiem, jaki to kraj, jeśli to kraj.
- To coś więcej niż tylko kraj. To byłoby banalne, bardzo banalne. To jest... Królestwo emotikonów.
- Co? - zająknął się Marc, oszołomiony.
- Emotikony, czyli my, ja i moi rodacy.
- I... wszyscy jesteście tacy...? To znaczy... oni wyglądają jak ty...?
- Émo zaczął się śmiać.
- Ha, ha, ha! Co za dziwne pytanie! Oczywiście, że tak. Wszyscy jesteśmy zbudowani na tej samej formie. Nasze Królestwo, bardzo dobrze prosperujące, jest częścią Planety Internautów, znajdującej się w Galaktyce Ordo. Jestem dość dobrze znany w wirtualnym świecie biznesu, dzięki mojemu bystremu umysłowi, ale i urokowi. Mark spojrzał na niego, zdumiony. Ten mały, kulisty mężczyzna był naprawdę bardzo skromny.
- Zauważyliście pewnie już moje fretkowe oczy, życzliwy i zaczepny sposób bycia oraz czarujący uśmiech.
- A ty mieszkasz sam? - uciał mój mały Marc.
- Ależ oczywiście. Nie mam już rodziców, ale mam wielu przyjaciół, wśród których najlepszym jest nasz prezydent Émocone. To sympatyczna postać w naszym krajobrazie, kolos wirtualnej polityki, który lubi otaczać się ludźmi liberalnymi, profesjonalnymi, trochę szalonymi, w dobrym tego słowa znaczeniu, trochę zbuntowanymi, ale poważnymi i lojalnymi, jak ja.
- O, szczyt skromności!

- Przepraszam - powiedział Émo Canu.
- Ja... myślę, że musisz być bardzo szczęśliwy, że masz takich przyjaciół.
- Tak, oczywiście, zwłaszcza że zawsze chętnie gości mnie w swoim Pałacu Księżycowym, prezydenckiej rezydencji. Bo choć mam kolosalny majątek, nie lubię zostawać sam w domu. On bardzo często zaprasza mnie do Pałacu, gdzie spędzam mnóstwo czasu, czasem zostaję tam na całe miesiące. W zamian za to daję mu różnego rodzaju bardzo drogie prezenty. A nasz prezydent lubi prezenty. Kiedy je otrzymuje, cieszy się jak dziecko. Jest rozrywkowym człowiekiem, lubi wszystko, co ma związek z duchem. I bardzo mnie kocha i wspiera we wszystkim, co robię.

Tutaj podam przykład. Było popołudnie, środa 10 września 2335 roku.

Z powodu złego samopoczucia przybyłem do Pałacu nieco później niż się spodziewałem. Prezydent zastał mnie dziwniejszego niż zwykle. Moje oczy były zaczerwienione, wydawałem się bardzo nieobecny i nieco zdenerwowany.

- Co się dzieje, mój drogi przyjacielu?
- Czasami...

Zanim zdążyłem dokończyć zdanie, wstrząsnął mną jakiś dziwny prąd. Niewidzialne ramiona zdawały się mnie chwycić, unosząc nagle w powietrze, a następnie pozwalając mi spaść z powrotem na ziemię, gdzie moje ciało trzęsło się, krzywiło i szamotało, wydając dziwne dźwięki niczym wiekowy i zardzewiały automat.

- O mój Boże! - wykrzyknął prezydent. O mój Boże! - kontynuował. Wezwał swoich strażników i kazał im sprowadzić doktora Carlesa. Ten przybył, zdziwił się, zbadał mnie, zbadał palpacyjnie, obserwował mnie i poważnym, apokaliptycznym tonem powiedział te kilka słów:

- O mój Boże!

- Czy to poważne, panie doktorze? - powiedział prezydent, również błagając to wiekowe bóstwo, które zagubiło się przez wieki.

- Czy to coś poważnego? - westchnął lekarz. Nigdy nie widziałem czegoś takiego. To może być najbardziej zbuntowany wirus w całej Galaktyce Ordo. Kto wie? Mówiono o nim przez ostatnie kilka wieków, ale uważano, że to zwykły mit, marny awatar tego, co ponad tysiąc lat temu nazwano straszną hiszpańską grypą. O mój Boże - powtórzył. Czarne chmury już zapowiadają, być może, nasz straszny koniec.

- A co według Ciebie powinno się zrobić?

- Musisz iść i zdobyć słynnego Antivirus Hacker

- Ten dziwny haker, który myśli, że jest superbohaterem? Ależ to przerasta wszystko, co sobie wyobrażałem! - powiedział prezydent, całkiem oszołomiony.

- Pozwól mi powiedzieć, że tym razem się mylisz, drogi panie Prezydencie. Może on nie jest najuczciwszą osobą na tej biednej planecie, ale tylko on może nas uratować. I klasnął w dłonie.

- Dzień dobry, panie Prezydencie - rozbrzmiał dźwięk w dużej sali prezydenckiej. I Antivirus Hacker pojawił się w dosłownie całej swojej okazałości. Był bowiem ubrany od stóp do głów w złoto najwyższej jakości.

-Hmmm odparknął Prezydent, zamiast odpowiedzieć.

A Antivirus Hacker, nie czekając już na zaproszenie, zaczął mnie badać. Zrobił przerwę, potrząsnął głową i wznowił badanie. Po godzinie, po kilku razach, podczas których Prezydent i dr Carles wzdychali, na przemian, zacierając ręce i krzyżując sobie drogę chodząc tam i z powrotem, Antivirus Hacker podniósł głowę, zdjął okulary 3D i westchnął, oświadczając:

- To nie jest śmiertelny wirus! Jest to marny wirus z rodziny ADWARE. A lek jest bardzo prosty: Pan tu obecny, Emo Canu, powinien zrezygnować z telesnobowania (ignorowania osób wpatrując się w swój telefon) na dłuższy czas i...

- Zaprześcić czego ??- Prezes i lekarz zapytali zgodnie. Ja pozostałem bez wyrazu, nie mówiąc nic.

- Telesnobowania! Jak to? Nie znacie tego terminu - powiedział Antywirus, zaskoczony. To stary termin, to prawda. Mówi się już o jego zastąpieniu. Naukowcy tzw. Academôticones zaproponowali na przykład "infonarktyzować", ale myślę, że telesnobować i tak się obroni. Jest ładniejsze. Jest pan, że tak powiem, drogi panie Canu - mówi do mnie - telesnoberem.

A gdy to mówił, wziął mój super inteligentny telefon i wsadził go do kieszeni.

- To będzie zabrane na długi czas - powiedział autorytatywnym tonem.

- Nie ! - westchnąłem, prawdziwie dotknięty tym radykalnym środkiem.

- Tak, tak - powiedział lekarz. I musisz zażyć to dość barbarzyńskie lekarstwo, gdyż to prawda, panu trzeba mały zastrzyk świeżego powietrza, zieleni, śpiewu ptaków, krótko mówiąc, życia na świeżym powietrzu. Mamy bardzo dobrze opracowane programy wirtualnej przyrody.

- O mój Boże - westchnęli unisono prezydent i doktor Carles. Ale to już prehistoria, mój drogi Hakerze - dodał ten ostatni.

- O mój Boże - westchnęłam z kolei.

- Wiem, wiem - westchnął solidarnie Antywirus. Ale musimy podjąć radykalne środki. Bo na tę chorobę nie ma, jak dotąd, innego lekarstwa. A wtedy, kto wie - kontynuował - pewnego pięknego dnia, być może, wrócimy do prehistorii. Kto wie, co się stanie w przyszłości?

I wszyscy jednocześnie wznieśliśmy okrągłe oczy ku Wielkiej Wirtualnej Wysokości, podziwiając, oprócz sztucznego nieba, grę planet i uśmiechając się naszymi przyjaznymi emotikonami. Tam - powiedział Émo Canu.

- Co za zabawna historia! - powiedział Marc, rozbawiony.

- Czyż nie? - powiedział z całą powagą Émo Canu. I otworzył, za pomocą małego superinteligentnego pilota, kilka wirtualnych okien, które wtargnęły do jego małej sfery, wypełniając ją okolicznymi krajobrazami i piosenkami ptaków.

Mark odszedł od niego, by podziwiać inne małe kule, które usiane były w Królestwie Emotikonów.

- Co za dziwne Królestwo! - westchnął.

Królestwo marionetek

Marc usłyszał tę pieśń, gdy tylko wszedł w bramy tego dziwnego królestwa. Przed wejściem stały, jedna po lewej, druga po prawej stronie, dwie gigantyczne kukły, których sznurki ginęły w chmurach. Ktoś operował nimi z wielką wprawą, bo dwa olbrzymy tańczyły, kołysały się, machały i skakały.

*Przyjdźcie, dzieci, młodzi i starsi,
Na bal kukielkowy
Zatańczcie w kółeczko,
Skaczcie, śpiewajcie
Z waszymi kokieterijnymi twarzami.*

Pieśń płynęła miękko z nieba, ozdobiona małymi obłoczkami w kształcie kwiatów, unoszącymi się w powietrzu i rozchodzącymi się wśród tysięcy kukielek, na które Marc patrzył z rozdziawionymi ustami. Były tam wszystkie rodzaje kukielek: kukielki ze sznurka, kukielki z pręta, kukielki z rękawiczek, kukielki wodne, marionetki, pacynki, ubrane w bajeczne stroje, w jaskrawych kolorach.

- Ach, drogi panie! Proszę wejść ! Proszę wejść ! - usłyszał w powietrzu. Był to mały głosik, wysoki jak jego własny.

Marionetki wykonywały swoją pracę, nieświadome jego obecności. Były tam kukielki skaczące po linie, grające w klasy, chodzące w kółko, naśladowujące automaty, bawiące się w chowanego za wielkimi panelami z egzotycznymi wzorami. Były takie, które siedziały na wielkich półksiężycach, które toczyły wielkie koła w neonowych kolorach, które przebierały się za żołnierzy, które grały na trąbce i bębnie i maszerowały w rytmie, były też takie, które...

- Sir! Proszę pana Marc usłyszał ponownie. Rozejrzał się dookoła. Marionetki nadal robiły swoje. Coś wylądowało we włosach Marca. Potrząsnął głową. Było to małe niebieskie piórko. Więcej małych, niebieskich piórek zaczęło latać w powietrzu. Marc spojrział w górę. Na jednej z gałęzi drzewa, które unosiła się w powietrzu, uśmiechała się do niego mała lalka ubrana na biało. Markowi wydawało się, że w jakiś sposób jest do niego podobna.

- Sir! Proszę pana! - krzyknęła po raz trzeci mała laleczka.

- Witam - powiedział Marc, wzruszony. Nazywam się. Marc.

- A ja mam na imię Marcine - uśmiechnęła się kokieteryjnie lalka.

*Przyjdź, przyjdź, Panie,
Zatańcz z nami,
Obróć się, obróć się w kółko,
Zakołysz się !*

*Krocz, krocz rytmicznym krokiem
Dołącz do tańca!*

I nagle, przy dźwiękach muzyki, Marc został wciągnięty w szalony, zwariowany taniec. Dwie dziewczyny-marionetki otoczyły go, uśmiechając się. Jedna blondynka po lewej, druga brunetka po prawej. A ponad całym tym tanecznym szaleństwem Marcine bawiła się strasznie, uderzając małymi rączkami w swoje latające drzewo.

Marc, który na początku walczył, próbując ze wszystkich sił uciec od tej czynności, którą kukielki zdawały się uważać za bardzo zabawną, zaczął krzyczeć z zadowolenia i śmiać się pokazując całe swoje papierowe zęby. Kiedy w końcu kukielki zwolniły swoje ruchy i taniec się skończył, Marc zawołał ze zdziwieniem:

- O mój Boże, jakie to przyjemne było!

- To uczucie wyzwolenia, którego doświadczyłeś, mój drogi Marku - powiedziała do niego radośnie Marcine. Bo my, marionetki, wiemy, co znaczy wolność, jak bardzo jest cenna. Być wolnym, móc poruszać się tak, jak się chce, nie będąc przez nikogo manipulowanym, myśleć swobodnie, wyrażać swoje pomysły, zaspokajać swoje pragnienia, to wszystko jest magią. Magię można też znaleźć w tym wszystkim.

Mark westchnął. Zbyt często chciał robić wszystko po swojemu, ale musiał zmierzyć się z faktem, że był tylko małym papierowym człowiekiem.

Królestwo Tolerancji

Docierając do neutralnej ziemi, na północ od Królestwa Spustoszenia, Mark zatrzymuje się na chwilę, by złapać oddech. *Ziemia niczyja* u jego stóp to łąka porośnięta wysoką trawą. Marc kładzie się na kilka chwil. Trawa ładnie pachnie, a niebo, nawet jeśli jest z papieru, to błękitny cud.

Ale był już czas, by odejść. Marek bierze więc swój kij, stuka trzy razy w wysoką trawę i natychmiast znajduje się przed wielkimi drzwiami, na których zdumiony czyta :

*Królestwo Tolerancji Projekt międzygalaktyczny
Czas trwania pracy: Nieokreślony
Beneficjenci: Wszystko, co oddycha we Wszechświecie*

Mark popycha otwarte drzwi i przekraczając próg, wykrzykuje:

- O Boże tolerancji!

Maszyny wszelkiego rodzaju poruszają się we wszystkich kierunkach. Szumy, szumy wszędzie. OGŁUSZAJĄCE. I dużo ruchu. Ludzie i złom poruszają się. w tą i z powrotem. Ogromny plac budowy. Tu i ówdzie znaki wskazujące na lokalizację jakiejś instytucji (na dużym znaku widnieje napis "Szkoła tęcza" i Marc myśli, że może to być szkoła dla ludzi wszystkich ras).

- Przepraszam pana - mówi Marc do przechodnia niosącego w ramionach duży plakat.

- Pan sobie życzy..., odpowiada, odkładając plakat, który spada w trawę wypełnioną ładnymi wiosennymi kwiatami.

- Chciałabym wiedzieć, co się dzieje w tym królestwie. Jestem tylko wędrowcem i...

- Jestem zaszczycony pańską wizytą, sir - odpowiada grzecznie przechodzień. Desanges, do usług. Pracuję w tej dzielnicy, która będzie się nazywać Misericordium.

- Czy to... plac budowy?

- Ale tak, Królestwo Tolerancji to projekt obejmujący całą galaktykę. Trwa, będzie trwać...

- Widzę jednak budynki, ogrody, wysokie budowle, wieże. Wszystko wydaje się być gotowe na przyjęcie ludzi.

- Tak, oczywiście, na tym poziomie udało nam się wszystko zaplanować. Kościół Międzygalaktyczny jest również gotowy na przyjęcie swoich członków wszystkich wyznań. Jest jednak jeden mały problem, o którym Pan wie. Bardzo mały problem, który okazuje się być prawdziwą chińską zagadką dla naszego Najwyższego Architekta.

- Jaki? - pyta Marc, półgłosem.

- Ludzie - odpowiedział robotnik, przepraszając. Ta międzygalaktyczna rasa, bardzo sympatyczna swoją drogą, zamieszkująca niewielki klejnot planetarny, nie podpisała jeszcze traktatu o przystąpieniu do Królestwa Tolerancji.

- A ten podpis, czy to takie ważne, na twoim poziomie? pyta Marc, zdumiony. W zasadzie to bardzo mała planeta...

- Ale tak, jest to bardzo ważne. Dla nas, dla naszego Najwyższego Architekta, jedno jest we wszystkim i wszystko jest w jednym. Nic nie może być zrobione, jeśli ludzie nie zaakceptują warunków porozumienia.

- A kiedy spodziewa się pan, że ten Traktat zostanie podpisany?

- Nie chcę być pesymistą, ale żyłem przez krótki czas na Ziemi i mogę powiedzieć, że ludzie... no cóż, to trudne... Z nimi nigdy nic nie wiadomo. Są mili, ogólnie rzecz biorąc. Ale jacy oni są dziwni! I nietolerancyjni. I podli, czasem bardzo podli. Myślałem, że są centrum wszechświata.

Mark westchnął. Kochał ludzi, ale musiał stawić czoła faktom. Czasami dobrzy mieszkańcy Ziemi mogli stać się prawdziwymi potworami.

- *Homo homini lupus* - szepnąłem do niego z mojego ziemskiego świata.

- O co ci chodzi - powiedział Marc, zaskoczony moim wtargnięciem.

- Oznacza to, że ludzie są prawdziwymi dzikimi bestiami dla swojego gatunku. Wredni, niehumanoidalni.
- Czasami - powiedział Mark, pojednawczo.
- Bardzo często - powiedziałem, zirykowany (ten mały papierowy człowieczek, ależ on był naiwny!) - nie potrafiłem znaleźć wyjścia z tej sytuacji.
- Cóż - powiedział Mark - jestem nieco większym optymistą niż ty. I uważam, że gdyby coś się stało z ich planetą, ludzie zjednoczyliby się.

I gdy to mówiłem, podskoczył do mojej lewej ręki (to ta ręka, która go stworzyła, bo jestem leworęczny).

- Nie mam już ochoty na podróżowanie - westchnął. Jestem zmęczony. Czy mogę się zdrzemnąć? Możemy wznowić podróżę nieco później. Kto wie, do jakich niesamowitych światów mnie pan wyśle, panie pisarzu? Do papierowych światów. Takich jak ja - westchnął. I mój mały człowiek zasnął w moich ramionach.

Zbliżał się świt. Na horyzoncie zaczynała nieśmiało wyrastać odrobina różu. Czarne smugi nocy cofały się. Od pewnego czasu gwiazdy również wycofywały się, wciąż całkiem uśpione. Nowy dzień miał się narodzić, wpisany do księgi wieczności, a jego pieśń o samotnej dolinie zdołała obudzić mojego małego papierowego człowieka. I, patrząc w górę na spektakularny świt papierowego nieba, wyszeptał mi do ucha:

- Dlaczego rozstania są tak smutne?
- Żeby wspomnienia były słodsze, spotkania radośniejsze, a życie bardziej skomplikowane i piękniejsze - odpowiedziałem, zamykając swoją małą książeczkę.

Spis treści.

TYTUŁEM WSTĘPU	3
KRÓLESTWO SZACHISTY	6
KRÓLESTWO WĘDROWCA	10
KRÓLESTWO MOTYLI	14
KRÓLESTWO DRZEW	19
KRÓLESTWO LEGEND	22
Legenda sezonów	23
Legenda o słoneczniku	28
Legenda snów	32
KRÓLESTWO OCZU	36
KRÓLESTWO ŚMIECHU	39
KRÓLESTWO LUSTER	42
KRÓLESTWO SPUSTOSZENIA	44
KRÓLESTWO RÓWNOWAGI	49
KRÓLESTWO EMOTIKONÓW	52
KRÓLESTWO LALEK	62
KRÓLESTWO TOLERANCJI	67
SPIS TREŚCI	75

Lucia Eniu jest francuskojęzyczną poetką i pisarką, która mieszka i pracuje w Rumunii. Jest nauczycielką francusko-włoską i ma doktorat z literatury, z pracą na temat twórczości Michela Tourniera, której fragmenty były publikowane w czasopiśmie za granicą.

Pisze po rumuńsku i francusku; kilka jej utworów prozatorskich i kilka wierszy zostało opublikowanych w internetowym magazynie Francopolis (2020-2022). Z opowiadaniem *Le goût du jeu* zdobyła w 2016 roku nagrodę w konkursie na opowiadanie "Plumes des Monts d'Or", sekcja języka francuskiego jako obcego.